



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

JULJUSZ ZEYER.

Legenda o Donatellu.

W całej Florencyi ruch świąteczny, gwar,
Bo Donatello skończył posąg swój;
Pod baldachimem z koronek kamiennych,
Co białym łukiem w błękit śmiało strzela;
Z puklerzem oto Święty Jerzy stoi,
Ten jasny symbol florenckiej wolności,
To wzniosłe w szczerzej prostocie swej dzieło,
W którą mistrz-twórca żywot wieczny tchnął,
Któremu duszę z własnej stworzył duszy,
A bohaterstwo wypisał na czole...

Przez dzień się cały tłoczy ludu tłum,
W radośnym szale, przed marmurem lśniącym.
I jako gędzba, jako pieśń zwycięzka,
Brzmi w całym mieście Donatella imię;
Takie jest pełne chwalby dlań powietrze,
Że krzyki grzmiące i słowa zapału
Aż do przybytku wnikają artyści.

Tam Donatello, błądy, zamysłony,
W mroku pracowni płaszczem się otula,
Jakby go mroził płonnej sławy zgiełk.
Jest męczennikiem każdy kunsztmistrz prawy,
Bo w serca jego tajemnej kryjówce
Robak zwątpienia głodze nieustannie;
I wówczas jeno, gdy zawiesz szcyderska
Płód jego ducha obelg jadem kala,

Wówczas jedynie zwątpień milknie wrzawa,
Aby buntowi ustąpić hardemu,
Wzrok błyska wtedy, drga wybladłe lice,
I cichy twórca w gaj się rzuca dziki,
Jak tygrysica na wroga się rzuca,
Który jej młodym grozi śmierci grotem.
Oh, od jej bólu ból jego jest sroższy,
Toć mlekiem tylko karmi tygrysica,
Gdy twórca daje serca swego krew!...

Tak Donatello trawił w myślach gorzkich
Ten cały długi przesłoneczny dzień,
A gdy na wieczór ucichły ulice
I gwiazdny przepych rozmarzonej nocy
W całej nad miastem rozplonął świetności,
Drzwi swego domu uchylił nareszcie,
Kroki niepewne powstrzymał na progu
I w serca głębi tak do siebie rzekł:

„Czem jest mi chwalba, czem przygana tłumu?
Powiem wiatru, co zrywa się, milknie,
I żaden po nim nie zostaje ślad...
Lecz za to głowy uchylę z pokorą
Przed mistrza mego jakimbaż wyrokiem,
Toć jego usta prawdy są przybytkiem,
A dusza chramem wiekuistej kraszy!
Niech sprawiedliwie on skroń ni uwieńczy—
Wawrzynem chwały, czy też cierniem ostrym!”

Pospiesznym krokiem idzie Donatello
I czuwającym starca-mistrza znajdzie
Na strzesze domu, z kąd widok daleki
Na miasto śpiące, na szumiącą rzekę,
Na drzewa w mroku pachnących ogrodów,
Gdzie w trawie błędzą iskrzące świetlaki,

I na Apenin modre szczyty w dali,
Nad których wyżnią miesiąc marzy płowy.

„Mistrzu,” zawoła, „drogi mistrzu mój!”
I oczy starca, pełne gwiazdnych blasków,
Które z migotnych w duszę wessał niebios,
Na ucznia blade zwrócą się oblicze:
„Jam czekał na cię, Donatello mój!”
A Donatello chwyci zwiędłą rękę,
Którą wyciąga doń mistrz z powitaniem,
I głosem drżącym z wielkiego wzruszenia,
Tak z głębi duszy kipiącej zawoła:

„Ojczy mój drogi i panie dostojny,
Któryś kierował me kroki nieśmiało
Na owej drodze kamienistej, ciężkiej,
Co ku zawrotnym wieżom wysokośćiom—
Odpowiedz, błagam, na duszy zbawienie!...
Widziałeś przecie dzieło me, mój posąg?
Włożyłem wszystko, co czuje ma dusza,
Swe bóle, wzloty, marzenia swe gwiazdne,
I siłę wszystką, i zapał bez granjc;
I całość myśli, *wszystko* w dzieło to!...
Mój duch miał wielkie, zuchwałe widzenie:
Chciał to osiągnąć, do czego dojść nigdy
Śmiertelnikowi nie będzie snadź dano—
Chciał oto dzieło stworzyć *doskonale!*

To dumne słowo bluźnierstwem jest może?
Powiesz mi pewnie, że się dzieła takie
Z otchłani jeno zagadkowej rodzą,
Z której, jak lotus, ten nasz wykwitł kwiat.
Że jest bez wady—tylko co Bóg tworzy,
I że to jego świętą jest wyższością?
Ale dla czego włożył w łono moje

To wieczne rzeczy najwyższych pragnienie?
 Nie, on nie wznicił tej iskry geniuszu,
 By głucho jeno w piersi mojej tłała
 I wieczną męką była mi! On chciał,
 By jako słońce buchnęła pożarem!...
 Dziś wiem, że ręka wykonała moja
 Tę rzecz największą, jaką stworzyć mogę;
 Dokąd wzlot ducha nie doniósł mię teraz,
 Tam nie dolecę nigdy, nigdy już!...
 Mistrzu, przed tobą chylę oto głowę,
 Niechaj twe usta wolny rzekną sąd!
 Jest-że mój posąg dziełem doskonałem?
 Jeśli nie, czego, ach, czego mi brak?!”

Gdy Donatello domówił te słowa,
 Mistrz pocałunek na usta mu wcisnął
 I, topiąc oczy, w młodzieńca źrenicach,
 Z tkliwym uśmiechem tak mu odpowiedział:
 „Mój Donatello, tyś to rzekł, nie ja,
 Bóg sam bez wady może tworzyć dzieła,
 I dzieła twemu jednej rzeczy, brak —
 Jakiej, nie powiem, zgadniesz, chłopcze sam,
 Skoro odgadniesz, znowu do mnie przyjdź.”

Słowo to ucznia zraniło do głębi,
 Lecz odszedł milcząc, bez westchnienia nawet.
 I mistrz nie przeczuł, że zimno i znurok
 Objęły nagle Donatella duszę.

Od owej chwili smutek tajemniczy,
 Jako choroba, nęka myśl artysty;
 Ani już śladu uśmiechu dawnego
 Na zbladłych ustach, w źrenicach zapadłych.
 Całemi dniami дума przed posągiem,
 Rozmyśla, zgłębia w ciężkim niepokoju,
 Szuka swej wady, znajduje wad tyle,
 Że wreszcie posąg zdaje mu się cały
 Jednym ogromnym od stóp do głów błędem!

I w proch runęła wspaniała budowa,
 Którą z snów pysznych stawił Donatello,
 I pogrzebała w gruzach szczątków swych
 Wszystko, co w twórcy nieśmiertelnem było,
 I pozostało z tej wielkiej istoty,
 Jeno co proch jest i w proch się obraca,
 I Donatello kroczył w śmierci kraj...
 Już nie ma siły wyjść przed domu próg,
 Już we drzwiach tylko na słońcu siaduje,
 Jak drzący starzec, lecz wciąż jeszcze wieszta
 Mrące źrenice na wielkim swem dziele.
 Ci, co przechodzą koło nieszczęsnego,
 Ręce rzewnymi skrapiają mu łzami,
 Dziewy mu róże na kolana sypią,
 Jak zmarłym kwiecie rzuca się do grobu...
 Wreszcie dzień przyszedł, że na łożu padł,
 Z którego nigdy podnieść się już nie miał;
 Do mistrza wówczas śle wieść Donatello,
 Aby doń raczył przyjść na pożegnanie.

Wejdzie mistrz cicho do cichej komnaty,
 Gdzie ciepły, złoty wpada słońca blask,
 Gdzie z sadów płynie słodki kosów śpiew,
 Jak gdyby ciesząc jeszcze raz ostatni
 To mrące serce, zawiedzione gorzko.

Ból, na ten widok, mistrza przejmie straszny:
 „Co cię trapiło, o duszo anielska!
 Co kwiat liljowy twójego żywota
 Ścięło tak wcześniej, że ja, starzec drżący,
 Nad trumną twoją siwe włosy rwę?!”

A Donatello, jak w gorączce, rzecze:
 „Nim umrę, mistrzu, odpowiedz mi prędko!
 Tyś, rzekł, że braknie posągowi memu
 Jedynej rzeczy. O, jakaż to rzecz?!”

A mistrz mu na to: „Mowy mi brakuje!”

W szale radości krzyknie Donatello,
 A oko jego zapłonie błogością.
 „Więc szczęśny umrę!” szeptem lka mistrzowi
 I na sen wieczny zasypia bez bólu,
 Jak ptaszę śpiewem zmęczone usypia
 Gdy złotę słońce zapadnie za góry.

Przełożył Miriam.

ZEMSTA

NOVELLA

przez

ZNICZA (MARYĘ PAPROCKĄ).

Wiatr wyje od wczoraj bezprzestannie. Prześladowuje mnie i dręczy, wdzierając się do pokoju każdą szczeliną. Rozdenerwował mnie do takiego stopnia, iż do żadnego zajęcia zdolną nie jestem. Grać próbowałam ale on się z moją muzyką o lepsze spierał, czytać nie mogę, bo ten wiatr nieznośny taką ciężką atmosferą mnie otacza i myśli rozprasza, że nie mogę zastanowić się nad żadną kombinacją ani rozumowaniem, wszystkie książki wydają mi się wyjątkowo nudne i głupie.

Sama nie wiem co mam z sobą robić a jednak trzeba jakoś ten czas zabić!

Ten wiatr, mój prześladowca, to oznaka późnej jesieni, która nas jeszcze na wsi zaskoczyła. Zawsze o tej porze byłam już daleko zagranicą, i nie wiedziałam co to osamotnienie nudy lub wichry jesienne. Ale tegoroczne lato przywitano mnie niespodzianką — umarła matka mojego męża, i na cały rok wyrzec się muszę świata, kolorów i zabawy. Czarną suknią i nudami konwensansomem dług trzeba płacić, rok cały siedzieć na wsi zdala od świata i oplakiwać sumiennie zgon *belle mère'y*, którą zaledwie dwa razy w życiu widziałam i gdyby nie portrety i fotografie tobym wcale nie pamiętała jej rysów.

Jestem sama jedna, towarzystwa nie mam żadnego. Mój mąż cały dzień poluje, a bawić mnie czasu niema. A zresztą, choćby był w domu, tobyśmy byli w kłopotcie, o czym z sobą rozmawiać mamy. Wszystko co tylko mieliśmy sobie do powiedzenia, powiedzieliśmy już przed ślubem. Bo cóż narzeceniu mają robić, jeżeli nie rozmawiać? Tęgo wymaga zwyczaj, aby się wzajemnie bawili albo nudzili. W takich rozmowach z urzędu, przy których zwykle jeszcze ktoś trzeci się znajduje, wyczerpać można wszystkie tematy jakie sobie wyrobiły prawo obywatelstwa w dobrem towarzystwie. Mówiliśmy o literaturze i estetyce, o modach i mieszczkach stylowych, o zagranicy, muzyce, przyjęciach i biżuteryach swoich lub cudzych jak też i o wadach, lecz broń Boże swoich, zawsze tylko cudzych, ale delikatnie i z daleka, niby niechęć, podciągając je zawsze pod rubrykę zalet i pochwał. Mój mąż był wtedy tak dobrze wychowanym, że nie prawie nigdy nie zaprzeczał. W muzyce zgodziliśmy się na jedno, że melodia powinna być jasna, zrozumiała i harmonijna. Terazniejsza muzyka, którą się wtedy rozumie jeżeli się przedtem przeczyta traktat filozoficzny, nie jest muzyką, wchodzącą w skład przyjemności salonowych. Wrażenia powinny bez trudu i umysłowego wysiłku wchodzić w nasze pojęcie. Muzyka to tylko dodatek! poetyczne tło towarzyskiej emulacji, jeżeli dla jej zrozumienia musimy umysł naprężyć i myśli skupiać aby nie stracić żadnego odcienia, towarzystwo robić będzie wrażenie jakiejś akademii albo muzycznego instytutu. Przy

akompaniamencie takiej muzyki nawet flirtować niepodobna.

W kwestyi malarstwa także nasze zdania były jednakowe. Terazniejsza impresyonistyczna szkoła jest dowodem złego gustu i pospolitości. Farby rzucone na płótno chropowato i bez należytego wygładzenia robią wrażenie nieładu i nieporządku, co jest przeciwne dobremu wychowaniu i poczuciom estetycznym. Naszemi artystycznymi ideałami były zawsze miniatury i dawne portrety.

Czasem, gdy wieczory były długie mąż mój czytywał nam głośno rozmaite powieści. Wybieraliśmy zawsze tylko takie, w których występowały osoby z dobrego towarzystwa, z salonowym wychowaniem i ogładą. Nie lubię czytać opisów o ludziach i obrazach biednych i brudnych, mimowoli sięgam zawsze po flakon z wodą kolońską. Takie powieści chybiają celu. Dostyc nędzy i brudów spotyka się w życiu na każdym kroku, a jeżeli książkę bierzemy do ręki to po to, by w niej znaleźć zapomnienie i oderwanie od tego co pospolite, brudne, szare i monotonne. Tylko pod względem biżuteryi, gustu nasze rozchodziły się w dwóch przeciwnych kierunkach, mój mąż nad wszystkie drogie kamienie przekładał dyamenty, a ja znowu nie lubię dyamentów. Robią one na mnie wrażenie napszonych dorobkiewiczów, którzy blask swój narzucają i koniecznie oczy chcą olśniewać. Ja, najlepiej lubię perły. Mają one połysk czysty i dyskretny, w oczy się nie rzucają, a prawdziwy znawca odrazu je odróżni od pospolitej tandety. W kwestyach mody, mój mąż także podzielał moje zdanie. Moda nigdy długo trwać nie powinna, gdyż im dłuższe jej istnienie, tem więcej się pospolituje, każdy pierwszy lepszy zaczyna się do niej stosować, i z tego, co było w swem zaraniu piękne i uprzywilejowane, robi się karykatura.

To były tematy naszych rozmów urzędowych, któreśmy prowadzili w obecności naszych najbliższych. Ale bywały jeszcze inne, przypadkowe. Wtedy najczęściej nasze zdania były sprzeczne, a nikt trzeci nam nie zaważał, ale... to wszystko było incognito, nawiasowo, więc też i ja to teraz w nawiasie pozostawię.

Teraz, mój mąż poluje, a ja się nudzę. Wiatr na dworze świszcząc i odbiera chęć do jakiegokolwiek zajęcia, myśląc tylko mogę swobodnie, bo nikt mi nie przerwie.

Myśleć!... Ale o czym? Czy o tem co będzie lub co byłoby mogło? Nie. To byłoby marzenie, a mnie świat już dawno marzyć oduczył. Pozostały tylko wspomnienia, które się tłumnie do myśli tłoczą, a jedno szczególnie żywo w pamięci mi się wypisało. Nie mogę jednak powiedzieć, że tę kartę z mojego życia między wspomnieniami umieścić wypada. Nie można u jej spodu napisać, że to było kiedyś ale już nie jest. Nie, ślady jeszcze są bardzo żywe w pamięci i wyraźne — wspomnienie czas zwykle zaciera i oddala. Ja to jeszcze odczuwam i często o tem myślę — wspomnienia są literą martwą i przebrzmiałą.

Nie znałam wtedy jeszcze mojego męża. Byłam panną na wydaniu, ot, taką sobie, zwyczajną jak wiele innych, jakich się widzi co rok nowe legiony, wstępujące w szranki świata do boju. Dążenia ich do trofeów wojennych bardzo są skromne i niewielkie. Chodzi zwykle o zdobyć tylko jednego jedynego niewolnika, a imię jego jest „mąż“ zawsze od wieków jednakowe. W zimie się bawiłam i robiłam nowe znajomości, w lecie wyjeżdżałam na wieś, a komu z karnawału żywsze o mnie zostało wspomnienie, ten za nami przyjeżdżał. Mojem ulubionem zajęciem w wolnych chwilach było malarstwo, więc też korzystając w lecie z czasu i pogody, zdjęmowałam z zapałem wszystkie widoczki jakie mi tylko pod oczy podpadły. Ci, którzy się troszczyli o moją przyszłość, rozkładali całe stopy tych moich arcydzieł, tak niby od niechcecia na wszystkich stołach i stolikach, ażeby odwiedzający nas młodzi ludzie, podziwiali mój talent niepospolitą i później, w samotności rozmyślać mogli, iż taka genialna żona byłaby dla amatora, niemałym zaszczytem. Oni podzi-

wiali, a ja się śmiałam, gdyż dobrze rozumiałam, że to wszystko nie wiele jest warte. Wielkiem zamilowaniem dla sztuki wypełniałam braki techniczne a wszystkich utrzymywałam w tem przekonaniu, że moje prace są prawdziwemi dziełami natchnienia.

Raz zdarzyło mi się stracić pewność siebie, miało to miejsce z powodu przyjazdu prawdziwego znawcy, kuzyna mojego Lolo X. malarza, który stale w Monachium przebywał. W wilię jego przybycia zniknęły z widomej powierzchni wszystkie moje szkice i albumy, a ja, przybrana w szatę skromności nawet się nie przyznawałam, że kiedykolwiek pendzel trzymałam w ręku. On taksamo jak i ja korzystał z pobytu na wsi i letniej pory i zdejmował z natury wiele szkiców i ładnych widoczków. Chodził po polach i ogrodzie, wybierał punkty, które mu się poddały do kopiowania wydawały a ja, jak jego cień wszędzie szłam za nim. Gdy malował, stawałam z boku i przyglądałam się jego pracy.

Nie byłam rozmowną, a Lolo, znajdując mnie pewno nie bardzo zabawną, po nieudanych próbach żartobliwej pogawędki, wcale się prawie o mnie nie troszczył. Nie rozmawiałam, gdyż wszystkie moje władze myślenia skoncentrowane były na jego stalugach i z natężeniem śledziłam wszystkie ruchy jego ręki, która z łatwością i od niechcienia kreśliła posłusznie wszystko co jej nakazywało myśl i natchnienie twórcze. W zachwyt mnie wprawiała ta technika wyrobiona, która mi się wydawała jakimś ideałem, dla mnie niedościgłym. Podziwiałam, a zarazem zazdrościłam mu tej łatwości w wykonaniu. Cemu ja nie mogę tak samo, według woli, kreślić wszystkiego, co mnie uderzy piękną słoneczną barwą albo kształtem! Ja lubię malować tylko to, co ma wygląd estetyczny, tony cieni miękkie i delikatne, a kształty lekkie i zarysowane artystycznie. Nawet dla kontrastu, nie umieściłabym brzydoty na moim obrazku. I męczę się nieraz i mozole, bo to co wymaluję nigdy nie jest tak piękne i delikatne jak je sobie pomyślałam lub widzę w naturze.

Lolo malował, a ja się jego pracy z natężeniem przyglądałam, by mózgiem sobie przyswoić choć jeden z jego sposobów opanowania materiału.

Jednego dnia śliczny widoczek malował z natury: grupa drzew, cała skąpana w świetle słońca, bez zaakcentowanego kontrastu ciemności, z delikatnymi drobnymi półcieniami, jakby utkana z przejrzystej koronki pajęczej. Wzór był prześliczny i wyraźny, ale odtworzony na płótnie, stawał się niejasny i zamglony, przedstawiał trudności prawie niemożliwe do usunięcia. Lolo się niecierpliwił i mozolił lecz nie mógł wytworzyć na obrazku należytej wypukłości.

— Sprobuj na wierzchołkach położyć więcej chromu, może zieloność się ożywi.

Słowa te wybiegły mi z ust prawie mimowolnie. Lolo odwrócił się szybko do mnie i zapytał ze zdziwieniem:

— A z kąd ty wiesz o tem, że chromem zieloność ożywić można?

Zaskoczył mnie zniemenacka swoim pytaniem, na razie byłam zakłopotana.

— Nie wiem, ale mi się tak zdaje. — odrzekłam, — zresztą ja z farbami jestem trochę obznajmioną, próbowałam malować.

— Doprawdy? To ty malujesz? A mnie nic o tem nie mówiłaś. Wstydź się. Ukrywasz się ze swoim talentem, bo, że jesteś artystką, o tem nawet nie wątpię, choćby tylko przez grzesność.

— Byłoby tak jak mówisz, gdybyśmy nasze role zamienili. Ale nie żartuj sobie ze mnie, moja sztuka nie jest nawet dyletantyzmem. Chciałam trochę przy tobie skorzystać, dlatego przyglądałam się twojemu sposobowi malowania.

— Czemuś tego odrazu nie powiedziała, mogę ci udzielać wskazówek ile tylko zechcesz. Pokaż mi swoje arcydzieła, prześliczny geniuszu skromności i sztuki.

Lolo śmiał się i z zajęciem patrzył na mnie, widocznie bawiło go moje zakłopotanie. Zdaje mi się, iż on dopiero wtedy zauważył, że rzeczy-

wicie ładną jestem, przedtem zwykle obojętnie na mnie spoglądał, o co w głębi serca miałam do niego trochę żalu. Jednak nie okazałam się bardzo pohopną do produkowania moich malowideł. Nastąpiły gorące targi, zarzekania i wzdragania z mojej strony i Lolo prośby serdeczne, w których wyczerpał wszystkie, najwięcej przekonywające argumenty, wyrażone słowami, twarzą lub oczyma. Naturalnie do przerwanej pracy już nie wrócił, a te nasze targi były widocznie bardzo zajmujące, gdyż sporo czasu nam uciekło, i więcej nas chyba zajmowały, aniżeli rzecz o którą chodziło.

Prosił tak ładnie, że wreszcie uleść musiała i przyniosłam mu wszystkie moje szkice i albumy. Uważnie je przepatrywał, śmiał się i żartował, udawał zachwyty, w który ja naturalnie wcale nie wierzyłam.

— Wiesz co, — rzekł w końcu, — takich wielkich, jak ty, artystów wieńczono zawsze po wszystkie wieki. Tobie się zatem wieńiec należy. Ale z czego? W tem właśnie leży jądro kwestyi. Laur, to roślina zbyt oklepana i już banalna. Trzeba wymyśleć coś niezwykłego, i takiego filigranowego, jak ty sama.

— Jeżeli chodzi o niezwykłość to wybierzemy kwiat paproci.

— Wybornie. Czekajmy zatem z uwienieczeniem, aż paproć zakwitnie. Ale tymczasem, — dodał poważniej — przy mnie będziesz malowała, jeżeli trochę popracujesz dojdiesz może do pewnego udoskonalenia.

Zachwycona byłam tym projektem.

Lolo musiał zaniechać swoją pracę, gdyż słońce za chmury się schowało, a jego grupa drzew pokryła się barwą mglistą i jednostajną. Postanowiliśmy tymczasem wyszukać jakiś ładny i łatwy widoczek dla mojego nowego studium. Wzięliśmy się pod rękę i powędrowali jak do brzy koledzy.

Skierowaliśmy nasze kroki w stronę ogrodu, nie chciałam brać wzoru z pola albo lasu, który się nie odznaczał żadną malowniczością. W ogóle nie lubię samej natury, wolę jak na niej widoczne jest artystyczne, ale tylko artystyczne dotknięcie ręki ludzkiej, gdzie zaprowadzone jest choć trochę symetrii i harmonii.

Czas nieznacznie nam ulatywał, przebiegło kilka godzin a myśmy wciąż rozmawiali, w konturach drzew i trawnikach falujących szukali estetycznych barw i kształtów. Lolo nie śmiał się z moich zachwytych i entuzjazmu dla piękna i harmonii, ale przeciwnie, podzielał je w zupełności, czasem nawet to wypowiedział, co mi niewyraźnie w myślach majaczyło, tylko, że jeszcze nie odnalazłam odpowiedniej formy, w którejby się skryzystalizowało moje przecucie.

Tak samo jak i ja odnajdywał piękno w jakimś czasem drobnym szczególe, ledwie dostrzegalnym, obok którego inni, przeszluby setki razy nic nie zauważywszy.

Lecz zawsze nieznacznie, rozmowa schodziła na nas samych, i wtedy było nam najweselsiej i najprzyjemniej. Samiśmy się spostrzegli, że szarżec zaczęło a myśmy jeszcze na żaden widoczek zdecydować się nie mogli. Stanęliśmy narazie na jednym wzgórk, pośrodku którego stał kiosk podparty czterema jõeskimi kolumnami, obstawiony wokół roślinami z oranżeryi, a tłem jego był wysoki ciemny szpaler strzyżonej grabiny.

— To może byłby najlepszy punkt, — zauważyłam.

— Masz rację, — odrzekł Lolo, — tylko martwy będzie ten obrazek bez żadnej ludzkiej istoty. Trzeba na nim sfabrykować jakiego człowieka. Ach, mam już! Doskonała myśl! Ty wymalujesz całe tło, cały widoczek, a później pójdiesz tam, oto, siądziesz na ławeczce obok kiosku, a ja cię opozuję i skopiuję na twoim obrazku. Trzeba żebyś się biał ubrała i obrzuciła pękiem kwiatów, z których nibyto będziesz składała bukiet. Obrazek zatytułujemy „W lecie.“

— Wybornie, doskonale! — zawołałam.

Późno już było i coraz ciemniej i w tej chwili dzwonek obiadowy do domu nas przywołał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FARAON

trzytomowa powieść Bolesława Prusa.

Dzieje starożytnego Egiptu są niewątpliwie bardzo ponętne dla powieściopisarza historycznego: nie są one i prawdopodobnie nigdy nie będą zbadane tak dokładnie, by mogły wytworzyć całkowity obraz życia społecznego, które przez długi szereg lat istnienia państwa najucywilizowanego w swoim czasie przechodziło najrozmaitsze zmiany i najróżnorodniejsze nosiło na sobie cechy; skutkiem tego na tle niewielkiej bardzo wiązanki znanych faktów dziejowych powieściopisarz może swobodnie rozwijać fantazyę i wcielać swoje pomysły i idee, nie narażając się wcale na zarzut nieprawdopodobieństwa, byleby jeno stworzył fakty i osoby możliwe w rzeczywistości; co prawda, powieść taka nie ma prawa do nazwy ściśle historycznej, jednakże to jej bynajmniej nie ujmuje wartości i nie przeszkadza zająć miejsca pierwszorzędnego w dziale beletrystycznym.

Taką właśnie powieścią jest najnowszy utwór Prusa p. t. *Faraon*, napisany bynajmniej nie w celu odzwierciedlenia jedynie przeszłości odległej, która, jak już wzmiankowaliśmy wyżej, pomimo znakomitych dziś postępów nauki na polu egipтологии, nie jest znaną tak w swych szczegółach, jak np. dzieje Grecyi lub Rzymu. Autor, przystępując do pisania tej powieści, miał niewątpliwie obok prawdopodobnej charakterystyki czasu inny cel przed sobą, a mianowicie zarysowanie obrazu walki dwóch sił, walki, która pod rozmaitemi formami, zmieniającemi się pod wpływem czasu, miejsca i rozmaitych innych okoliczności, toczyła się i toczy dotąd tu i owdzie. Jest to tedy powieść tendencyjna, mająca wiele łączników z teraźniejszością i najzupełniej odpowiadająca naturze talentu Prusa, który umie żyć życiem chwili obecnej, krystalizując w swej piersi wszystkie jej zjawiska.

Za tło do swego utworu obrał Prus czasy upadku XX-tej dynastyi faraonów, właśnie czasy tak mało zbadane stosunkowo do innych epok życia politycznego Egiptu, że nawet nie wiadomo napewno, czy główny bohater powieści, ostatni z tej dynastyi faraon Ramzes XIII jest postacią historyczną, rzeczywistą.

Rozpoczyna się ono z chwilą, gdy panujący stary faraon Ramzes XII-ty mianuje urzędownie syna swego Ramzesa, dwudziestokilkuletniego młodzieńca, swoim następcą i rozkazuje wykonać mu manewr wojenny z częścią wojsk egipskich, by powziąć wyobrażenie o jego zdolnościach jako wodza. Młody Ramzes z początku doskonale kieruje marszem swego oddziału, idącego przeciw wytrawnemu dowódcy armii egipskiej Nitagerowi, ale w stanowczej chwili zdradza wielką lekkomyślność, tracąc sporo czasu na rozmowie z Sarą, żydówką, której wdziękami zostaje oczarowany, i zapominając, że przez ten czas Nitager może otoczyć jego wojsko. Dopiero ujrawszy się w matni, zuchwała odwagą wydobywa się z niej, przebijając się przez środek wojska przeciwnika.

W opisie szczegółowym tych manewrów już dość wyraźnie zarysował Prus przed nami charakter swego bohatera, który przez cały czas opowiadania powieściowego pozostaje takim, jakim go na początku widzimy. Jest to młodzieniec pełen zapału i sił młodości, przytem gwałtowny, niepohamowany i nie umiejący w wielu razach panować nad sobą. A jakkolwiek zdradza najszlachetniejsze chęci i zamiary, jednakże z góry już możemy być pewni, iż urzeczywistnić ich nie potrafi dzięki iściemłodzieńczej lekkomyślności i nierozwadze. Panując w warunkach normalnych, władca taki mógłby wiele dobrego wyświadczyć dla narodu, wzbogacając skarby państwa, podnosząc ogólny dobrobyt i szerząc oświatę; ale wśród takich okoliczności, w jakich

mu działać wypadło, gdy z jednej strony burzy się lud przeciążony pracą, zaś z drugiej wzmagają się żywioł teokratyczny, z którym walka wymaga niesłychanej ostrożności, wielkiego doświadczenia i przytem zupełnej dojrzałości umysłowej — taki człowiek, jak Ramzes musi upaść.

Dwa pierwsze tomy swej powieści poświęcił właśnie autor szczegółowej charakterystyce swego bohatera, który występuje tu jako następca tronu, z jednej strony zdobywający sobie ogromną miłość wojska i ludu, a z drugiej zniechęcający do siebie wyższych urzędników i kapłanów. Miłość zyskuje on dzięki swej waleczności i wielkiemu współczuciu niedoli ludu, zaś zniechęca do siebie urzędników i kapłanów nietolerancją nadużyć z ich strony, lekceważeniem ich samych nawykłych do panowania, a może i swoim skrajnym sceptycyzmem w kwestjach religijnych; pod tym właśnie względem Ramzes jest postępowcem w całym znaczeniu tego wyrazu, szydząc sobie najspokojniej w świecie i z potęgi bogów, i z mądrości kapłańskiej.

Po niefortunnie zakończonych manewrach strategicznych, których następstwem było odmówienie Ramzesowi naczelnego dowództwa korpusu Memfi, czego on właśnie pragnął gorąco, następca tronu zamknął się w swej rezydencji, usiłując w uściskach pięknej Sary, kochającej go cicho, lecz głęboką miłością, zapomnieć o zawodzie, jaki go spotkał. Nie trwało to jednak długo: ojciec, stary Ramzes XII, przywrócił wkrótce syna do łask swych, dając mu nietylko korpus Memfi, ale i namiestnictwo nad Dolnym Egiptem. Tu się otworzyło nowe dla niego pole pracy, do której porwał się zrazu z wielkim zapałem, właściwym naturom żywym i szlachetnym. Ramzes usiłował osobiście wszelką załatwić sprawę i sam wejrzeć we wszystko, ale już po kilku dniach uczuł się tak wyczerpanym i znudzonym, że „dwa dni leżał na kanapie z rękoma pod głową, bezmyślnie patrząc w sufit“. Jakkolwiek takie zniechęcenie i apatya są w tym razie jeno chwilowym objawem niezmiernie wrażliwej natury, objawem, występującym czasem i u ludzi wielkiej potęgi duchowej, wszakże mają one niekiedy służyć w tym wypadku świadectwem niewielkiej wytrwałości człowieka, który ma rozpocząć w niedalekiej przyszłości walkę z potężnym arcykapłanem, będącym dziś już właściwym kierownikiem nawy państwowej.

Wkrótce potem jako namiestnik udaje się on z rozkazu ojca w podróż po nomesach Dolnego Egiptu, by zbadać dokładnie przyczynę stopniowego zmniejszania się dochodów państwowych, ale i w tym razie młodzieniec utonął całkowicie w zamęcie sprawozdań nomarchów, nie mogąc pomimo wysiłku umysłowego dojść do jakichkolwiek rezultatów swej podróży, a gdy wypadkowo udało mu się wykryć nadużycia jednego z nomarchów, dość było pośrednictwa córki jego, pięknej Abeb, by następca tronu publicznie pochwalił nomarchę za jego zarząd prowincją i zapomniał o nadużyciach. Tu uderza nas pewien rozdzwięk w barwach, składających się na odmalowanie postaci Ramzesa, bowiem trudno przypuścić, by człowiek, jak on, nawskróś szlachetny i sprawiedliwy, oburzający się na każdy objaw nadużycia lub krzywdy ludzkiej, żyjący jedynie myślą ulżenia doli biedaków i właśnie przed chwilą tak wzburzony nadużyciami nomarchy i potajemnem zamordowaniem biednego chłopca, który przed księciem użalał się na swą dolę, trudno, mówię, przypuścić, by taki człowiek pod wpływem wdzięków pięknej kobiety odrazu zapomniał o wszystkim i publicznie chwalił rządy nomarchy, a nawet później, gdy już ostrył w swym szale miłosnym, nie uczuł najmniejszych skrupułów, żadnych wyrzutów sumienia; Ramzes użalał się tylko przed swym powiernikiem, że kobiety zbyt drogo kosztują, gdy córka nomarchy, zaskarbiwszy względy następcy, każe sobie z jego szkatuły wypłacić ogromne sumy. Jakkolwiek jedną z najbardziej charakterystycznych cech Ramzesa jest zbyt wrażliwość na wdziaki niewieście, mimo to niepodobna zrozumieć, jak mógł

on w takiej chwili okazać tyle słabości charakteru, bądźco bądź poniżającej takiego, jak młody władca, człowieka, i ostatecznie nie mieć nawet sobie nic do wyrzucenia; w ten sposób postąpić mógłby człowiek w gruncie zły lub zbyt pospolicity, nie posiadający żadnych uczuć zacniejszych, a przecież Ramzes bynajmniej takim nie był. Jest to zresztą w całej powieści jedyne rozdzwięk.

W dalszym ciągu widzimy następcę raz słuchającego wykładów i objaśnień kapłanów egipcich, to znów burzącego się przeciw nim skrycie, a zawiązującego stosunki z fenicyanami, od których pożyczając niebacznie ogromne sumy, narzekając wciąż przytem na zubożenie skarbu państwa i długi niepomierne, wreszcie poraz ostatni, jako następca tronu, występuje on przed nami w roli głównego wodza armii egipskiej, zwyciężającego w jednej bitwie wojska zbuntowanych libijszczyków, gdzie złożył dowody nietylko odwagi osobistej, ale i umiejętności kierowania większą masą wojska. W chwili stłumienia ruchu libijskiego umiera stary faraon, a rządy obejmuje Ramzes XIII; trzeci tedy tom powieści Prusa poświęcony jest właśnie odmalowaniu działalności młodego faraona, który odrazu usiłuje zaznaczyć niezależność swą od władzy kapłańskiej, zbyt już naówczas potężnej w Egipcie. Stary faraon ulegał jej całkowicie i cały czas spędzał na spełnianiu różnych obrządków religijnych, zaś państwem faktycznie rządził arcykapłan Amona tebańskiego Herhor i jego koledzy. Obecnie oni wszyscy z Herhorem i drugim arcykapłanem Mefresem na czele stają się celem nienawiści Ramzesa, którego zresztą uważają za lekkomyślnego młodzika.

Herhor — to prawdziwy mąż stanu: chłodny, spokojny, rozważny, a nadewszystko znający doskonale stan kraju i umiejący nim rządzić. Nie jest on ostatecznie chciwy władzy faraona, bo po śmierci Ramzesa XIII pierwszy głosi założeniem rządów w ręce wytrawnego wodza Nitagera i tylko na prośby zgromadzenia przyjmuje królewską koronę, rozpoczynając w ten sposób nową XXI-szą dynastję w Egipcie; mimo to broni energicznie praw i władzy kapłańskiej, którą Ramzes XIII zgnieść usiłuje. Rozumie on zresztą dobrze, że walka z młodym faraonem wcale nie jest straszną: „Tobie się zdaje — mówi do kapłana Pentuera — że on (Ramzes) rządzi. To ja rządę, ja ciągle rządę, ja, którego on wypędził od siebie. Ja robię to, że dziś mniej wpływa podatków do skarbu, ale ja też zapobiegam buntowi chłopów, który jużby wybuchnął; ja sprawiam, że nie porzucają robót przy kanałach, groblach i gościńcach. Ja wkońcu już dwa razy powstrzymałem Asyryę od wypowiedzenia nam wojny, którą ten szaleniec wywołuje swojemi wojskami rozporządzeniami. Ramzes rządzi! On tylko robi zamęt.“ Herhor uważa go za rozhukanego dzieciaka, który nie dobrego nie robi, choćby mu dać piramidę złota i srebra. I ma pod tym względem wiele słuszności, jakkolwiek nie umie ocenić w młodym faraonie szlachetniejszych uczuć, zapewniających mu wyższość duchową nad tłumem otaczających go ludzi. Herhor kieruje się jedynie rozumem i dlatego przyznaje mu jedną tylko zaletę, a mianowicie znajomość sztuki wojskowej.

Z drugiej strony i młody faraon nie umie ocenić wszechstronnie swych przeciwników: ufając orężnej sile żołnierzy swoich i przywiązaniu ludu, który spodziewa się od niego ulg znacznych, lekceważąc kapłanów i rozpoczynając z nimi walkę, nie bierze w rachubę tego, co stanowi istotną ich siłę, t. j. nauki, której są oni jedynymi wyobraźnielami w Egipcie i przez którą doszli do swej potęgi i wielkiego wpływu na masy. Lekceważenie tej właśnie siły staje się przyczyną zguby faraona, drwiącego zarówno z bogów, jak i z kapłanów i ich mądrości; gdy mu kapłan Mene doniósł o mającym nastąpić zaćmieniu słońca, Ramzes wyśmiał go, natomiast nieomieszkał skorzystać z tej wiadomości przezorny Herhor, który postaral się przyspieszyć ułożony przez faraona napad ludu na świątynię egipską, by wypadł on właśnie w chwili zaćmienia słońca, co na tłumy i wojsko rzuciło szalony po-

strach i zadało stanowczy cios sprawie Ramzesa; a gdy faraon po nieudany w ten sposób zamach na świątynię wydaje rozkaz uwięzienia arcykapłanów, pokazuje się, że wśród żołnierzy, otaczających go i niby gotowych spełnić każdy jego rozkaz, znajduje się co najmniej połowa szpiegów, będących na żołdzie Herhora.

Oni to donosili mu o każdym kroku faraona, co zresztą przychodziło im bardzo łatwo, bowiem Ramzes należał do tych ludzi, co nie umieją swych myśli i uczuć trzymać na wodzy; pod wpływem chwili potrafił on jednym nierozważnym słowem, którego sam potem żałował, zdradzić swe plany lub idee, które wymagały głębokiej tajemnicy, przez co oczywiście psuł sobie robotę i mimowoli dawał oręż w ręce przeciwnika.

Powieść kończy się śmiercią faraona, który ginie z ręki skrytobójcy, zahypnotyzowanego przez jednego z arcykapłanów. Jednakże śmierć głównego bohatera nie czyni wrażenia tragizmu w duszy czytelnika, a to przedewszystkiem dlatego, iż Ramzes bynajmniej nie jest wyobraźnielcem olbrzymiej siły, upadającej w walce z inną potęgą, a następnie i dlatego, że śmierć ta jest czysto przypadkową, że nie składał się na nią cały szereg faktów poprzednich i na koniec, że nastąpiła ona już po zwycięstwie idei kapłańskiej, po odegraniu ostatniego aktu walki. Kapłani pokonali przeciwnika dość łatwo (dzięki zaćmieniu słońca), nie widząc żadnej potrzeby uciekania się do środka ostatecznego, jakim jest sztylet; a jeżeli faraon zostaje zabitym, to jedynie skutkiem osobistej nienawiści Mefresa, który nie może mu darować żartów z jego mądrości. Ztąd odczuwamy litość nad upadłym faraonem i głęboko nawet współczujemy jego doli, ale wstrząsającego wrażenia tragedii nie otrzymujemy, jak to bywa zazwyczaj wobec katastrofy, kończącej walkę dwóch potęg.

Arcykapłan Herhor, jako namiestnik, rządzący krajem podczas bezkrólestwa po śmierci Ramzesa XIII-go, urzędystwa ławościami wszystkie znaczne zamiary zgasłego faraona: ulżył doli chłopów, podniósł karność wśród kapłanów, otoczył opieką fenicyan, którym sprzyjał nieboszczyk, zapewnił wymiar sprawiedliwości pokrzywdzonym i wreszcie spłacił wszystkie długi państwa, wzięwszy ogromne sumy ze skarbów przechowywanych w Labiryncie. Dzięki temu wkrótce wszyscy poczuli błogosławieństwo Herhora i szybko zapomnieli, że był już przed nim człowiek szlachetny, który to samo pragnął uczynić powodowany, nie jak Herhor może, koniecznością, ale poczciwym sercem.

Jeżeli zdamy sobie sprawę po przeczytaniu *Faraona*, musimy przyjść do wniosku, że jest to utwór niepospolicity, godny ze wszech miar takiego jak Prus talentu.

Przedewszystkiem musimy podziwiać tu doskonałą charakterystykę licznych postaci, w których wzajemnym stosunku do siebie i czynach uwydatnia się plastycznie głęboko pomyślana główna idea powieści. Tu mógłby kto zarzucić autorowi zbyt dowolność w kreśleniu osób i faktów, przesuwających się przed oczyma czytelnika, ale zarzut taki mem zdaniem najmniej będzie miał podstawy. Na tle tak mało znanej epoki ukazujące się wypadki i występujący ludzie dość jeśli będą takimi, jakimi mogliby być w rzeczywistości, a właśnie w powieści Prusa nie spotykamy ani razu czy to w charakterystyce postaci, czy też w opisie jakiegoś wypadku, jakiejsz czynności, czegoś niezgodnego z pojęciem o tych czasach odległych, urobionem na podstawie dotychczasowych zdobyczy nauki na tem polu; a skoro tak jest, niczego więcej nie mamy prawa wymagać pod tym względem od autora. Obok charakterystyki osób spotykamy w powieści niezmiernie barwne opisy przyrody Egiptu, pustyni sąsiedniej, wylewu Nilu, a prócz tego charakterystykę możliwą stanu nauk w swych czasach i oparty na podstawie zabytków piśmiennych obraz różnorodnych czynności mieszkańców doliny nilowej i obrządków religijnych, z których najszczególwiej mamy odmalowany obrządek balsamowania i pogrzebu zwłok faraona. Wszystko to składa się na wy-

tworzenie niezmiernie barwnej całości, nie ustępującej pod względem kolorystyki najwybitniejszym pracom podobnym w zachodnio-europejskiej literaturze, a przewyższającej je może wysoce artystycznym rozwinięciem myśli przewodniej. To też *Faraon* jest niewątpliwie jednym z najcenniejszych utworów, na które w czasach ostatnich zdobyła się literatura europejska.

J. Nitowski.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Salii Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Wynijdźmy z ciemnej celi zakonnika, pełnej tajemniczych mroków fanatyzmu i zachwytów mistycznych, na szerokie pole wolnej myśli ludzkiej, szczerych, nie kępowanych niczem porywów serca, głębokiego, czysto ludzkiego i indywidualnego odczucia przyrody. Oto posyła nam światło jasne i oddech świeży wielka poezja Szekspira, tak wielka, że zdołała objąć cały obszar ducha ludzkiego i przyrody. Fantazja poety, genialna, olbrzymia, a niezmiernie plastyczna, porwała na skrzydła swoje cały świat wewnętrzny człowieka i przerzuciła go pod błękity niebios, na obszary mórz, na oddechy wichrów, na wonie kwiatów. Szekspir powołał całą przyrodę do wielkiej symfonii, rozbrzmiewającej po wszechświecie, którego częstątką jest duch ludzki. W poezji jego powietrze płacze, jak człowiek, słońce całuje rosę kwiatów, góry dają pocałunek niebu, wichry walczy z morzem, pierś o pierś oparłszy, strumyk igra, jak dziecko. Nie dosyć na tem, przyroda w dramatach Szekspira stanowi nie tylko tło, ale zarazem jest siłą czynną, istotą żywą, jest niejako jednym z aktorów na scenie. Aktor ten dostraja się do uczuć bohaterów—ludzi. Nad głową nieszczęśliwego Lira huczy taka sama burza w przyrodzie, jaka szaleje w królewskiej duszy starca nieszczęśliwego. Dwa żywioły: żywioł ducha i żywioł natury łączą się tu w jedną całość harmonijną, uzupełniają się i potęgają wzajemnie. Bez tych wichrów, dżdżu, gromów i błyskawic, z którymi rozmawia dusza Lira, nie odczuwalibyśmy ani w części tej grozy potężnej, która przebiega dreszczem przez nerwy nasze aż do mózgu. One to dają gwałtownej burzy uczucie, huczającej w piersi napały—obląkanego z rozpaczy starca, potęgę wezbranych żywiołów, potęgę straszną, wrywającą się z duszy wyciem huraganów, hukiem gromów i blaskiem błyskawic, wrywającą się w słowa, nieokielznaną burzę tych żywiołów wspaniale odtwarzających:

„Grzmijcie pioruny! lej dżdżu! pryskaj ogniu!
„Deszcz, wiatr, grom, ogień, to nie moje córki.
„Ja was, żywioły, nie winię o srogosć:
„Nic wam nie dałem, nie zwałem was dziećmi;
„Wy obowiązków względem mnie nie macie:
„Ciągnijcie dalej swe straszne igrzyska!
„Oto tu stoję, jako wasz niewolnik,
„Ja, starzec biedny, słaby i wzgardzony;
„A przecież wręcz was mienię służalcami,
„Bo, pomagając dwóm wyrodnym córkom,

„Zastępy swoje, z górnych sfer wiedziona,
„Zwracacie przeciw takiej jak ta głowie,
„Starej i siwej... O! O! to niegodnie!”

(Przekład J. Paszkowskiego).

Przypomnijmy też sobie, jak poetyczną rolę odgrywają noc i poranek w cudnym poemacie miłosnym Romea i Julii, jak zazdrosna smuga światła wrywa kochanka z ramion ukochanej, jak pieśń skowronka ostrzega ich, że zbliża się niebezpieczne rano.

W Makbecie znowu nastrój złowieszczy przyrody poprzedzał zbrodnię, a następnie jej towarzyszył: puszczyk huczał, odzywał się krzyk sowy i poświerk świerszcza. Noc była burzliwa, wichry zerwał kominy, w powietrzu słycać było jęki żalodne, rżenie konających, ptak kwilił, ziemia trzęsła się cała, jakby w febrze. Po spełnieniu zaś zbrodni, cała przyroda nastraja się groźnie, ponuro: „gruby mrok tłumi wschodzące pochodnie“ słońca, ciemność kryje oblicze ziemi; przyroda buntuje się przeciwko podłości człowieka: konie zamordowanego Dunkana zdziaczały nagle, stargały uwięzie i z bram stajennych wypadły, jakby chciały wojować z ludźmi.

Nad smutną, marzycielską głową Hamleta zawisła ciemna noc listopadowa, zawisło chmurne, mroczne, mgliste, posępne niebo północy, tak podobne do nastroju uczuć i myśli bohatera i do nastroju wypadków, które się odgrywają na scenie.

W uroczej sielance p. t. „Jak się wam podoba“ woń lasów pięści duszę i zmysły, przyroda cała odgrywa razem z człowiekiem słodką idyllę.

Tak ożywiona natura zdaje się mieć duszę i serce ludzkie. Miłość w niej bawi się i drzemie na darmi zielonej. Narcyzy zwodzą swą pięknością wiatr kwietniowy. W „Snie nocy letniej“, na widok szalonej miłości Tytania do Spodka z głową osła:

„Ta sama rosa, co zwykła na pączkach
„Pysnić się, jakby kragle wschodu perły,
„Teraz łzą stała w oczach kwieci lubyh,
„Jak znak boleści nad własną ohydą.”

(Przekład S. Koźmiana).

To też Szekspir budzi w sercach naszych miłość do tej współczującej nam przyrody, każe nam kochać nawet muszkę drobną.

Niekiedy poeta uosabia siły natury, które w tej postaci przyjmują udział w zdarzeniach życia ludzkiego; stwarza w „Burzy“, lub postaci „elfów“ w „Snie nocy letniej“.

Zjawiska duchowe odtwarza nam Szekspir w obrazach, porównaniach i przenośniach, wziętych z życia przyrody. Genialna gra wyobraźni wielkiego dramaturga tworzy tak niezmiernie bogactwo tych obrazów i przenośni, że niema chyba żadnego oddechu przyrody i żadnego jej głosu, któregooby nie pochwyciła i do krainy ducha nie przeniosła. Więc w piersi ludzkiej przeglądają się głębie oceanu, więc chywyta ona oddech wichrów, a obraz ten jest symbolem wchłaniania duszy ukochanej. Tańczącą kochankę kochanek pragnąłby zamienić w falę morską, by, jak ona, wiecznie tańczyła. W innym znów miejscu zakochane dziewczę żałuje, że niema kilku kwiatów wiosny, aby je zabrać z wiosną życia ukochanego. Gdzieindziej kochanka spłata swe ramię z ramieniem lubego, jak „wiciokrzesz wraz z wonnym powojem“, lub „jak bluszczy dziewiczy szorstkie konary więzu opierścienia.“ W oczach Julii blask kochanka „jaśnieć będzie w ciemności na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie na grzbiecie kruka.“ Według słów tej samej kochanki, księżyc, który „co tydzień zmienia kształt swej pięknej tarczy,“ jest symbolem zmiennych uczuć miłosnych. Blade pierwiosnki są symbolem dziewictwa, gdyż giną one „wprzódy, nim Feba w całym ujrza blasku.“ Morze znowu jest symbolem miłości głębokiej, „równie jak ono bez końca.“ Zbliżanie się starości i śmierci znajduje symbol swój w smutnej postaci drzew, na których jesień późna kilka zaledwie ostatnich liści pozostawiła, a i te już za chwilę opadną, gdy tak niedawno

cień tych drzew wabiły do siebie słowików. To samo zbliżanie się starości jest u Szekspira schyłkiem dnia, gdy słońce chyli twarz swą ku zachodowi, gdy noc już śpieszy, aby położyć dłoń swą na życiu. Małżonka na wieść o stracie męża woła:

„Ja, synagorlica,
„Biedna i stara, wybiorę siedlisko
„Na uschłym drzewie i tam płakać będę
„Po stracie, której nie znajdę już nigdy...“
(„Zimowa powieść“, Przekład L. Ulricha).

W Cymbelinie kochająca żona, gdy wrogo usposobiony ojciec rozłącza ją z mężem, narzeka:

„. . . . Zbliżył się mój ojciec
„I, jak północnych wiatrów zimne tchnienie,
„Okrutnie zwarzył kwiatów naszych pączki.“
(Przekład L. Ulricha).

Nie tylko przejściowe zjawiska ducha, lecz i cały wizerunek wewnętrzny człowieka umie poeta przedstawić w żywych obrazach przyrody. Po śmierci Ofelii, Laertes woła: „Spuście trumnę! Z prochu dziewiczego fiojki wyrósł porył winnicę, zniweczył zasiewy, który krew ludzką chłepce, jak pomyje, i z wnętrzości ludzkich koryto sobie robi.“

W odtwarzeniu w ten sposób różnorodnych stanów duszy ludzkiej poeta wynajduje obrazy, które oddziałują potężnie na wyobraźnię ludzką, pełne są bogactwa odcieni, zestawień niespodziewanych, śmiałych, a niezmiernie logicznych, rozumnych i prawdziwych. Nigdzie nie napotykamy sztuczności, przenośni dalekich; przeciwnie, wszystko jest niezmiernie prawdziwe, wszystko wytryska z żywej piersi przyrody, pachnie świeżością, zadziwia grą barw naturalnych, choć często jaskrawych. Miłość, na przykład, jest, według autora „Snu nocy letniej“, chwilową, jak dźwięk, krótką, jak sen, a mija, jak złudzenie, jak błyskawica wśród nocy głębokiej; jest ona bystrą: zabłyśnie, rozjaśni przed oczyma niebo i ziemię, lecz, nim człowiek zdąży powiedzieć: „patrz!“, już ją wchłonęły otchłanie mroków.“ W chwilach boleści różnie wędzną na licach kochanki. Gniew w duszy Ryszarda II znajduje wyobrażenie w słońcu zczernionem, które pojawia się u wrót ognistych wschodu i oburza się na widok chmur, które z zazdrości pragną zaciemnić jego światanie. Nadzieja leci na skrzydłach jaskółki. Oblicze kochanki zawstydza gwiazdy, jak zorza lampę. Z postacią Julii blask strzela z okna; ukochana ukazuje się, jak słońce, która ma zaćmić księżyc zazdrośny. Postać matrony rzymskiej jest, według słów Koryolana, „czysta, jak lodu kryształ, ścięte z najczystszej śniegu.“

Nie tylko porównania i przenośnie łączą u Szekspira przyrodę z duchowym, wewnętrznym światem człowieka. Pomiedzy jednym, a drugim płynie nieustanna fala wrażeń i uczuć, która te dwa światy łączy w całość nierozdzieloną. Posępna dusza Hamleta widzi na całym obszarze świata, to „ogród nie pielony, samym tylko bujnie krzewiącym się chwastem porośły,“ to pustynię; wspaniałe sklepienie niebios, „ten cudnie wiszący firmament, ta majestatyczna przestrzeń, złotemi obsypana iskrami,“ nie jest w jego oczach niczem innym, „jak tylko marnym, zaraźliwym zbiorem wyziewów.“ W chwilach upoju namiętnych Romea i Julii przyroda razem z kochankami oddycha tchnieniem miłości.

Genialny dar syntezy daje poecie moc ciąglego spajania zjawisk ducha ze zjawiskami natury, a olbrzymia i niezmiernie plastyczna fantazja nadaje tym zjawiskom wypukłość, rysy wyraźne i barwy życia naturalne, głos szczery i prawdziwy. Szekspir maluje obrazy natury, rzeźbi je, daje im kształty, kolory, dźwięki i wonie, a tworzy niekiedy drobne, ale dokładnie wykończone krajobrazy.

Poeta ten znalazł w przyrodzie to, o czem do-
tąd nie marzono wcale, czego nikt z piewców
nie oglądał; przeprowadził on naturę przez
wszystkie uczucia i nastroje: od idylli, aż do
tragedyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Kula u nogi. Sztuka w 3-ach aktach z epilogiem przez
Jana Szutkiewicza.

Pomysł, jakkolwiek niezupełnie nowy, lecz na-
dający się do dramatu wstrząsającego; typy, tak
dobrze znane jak kolor szary, lecz przedstawi-
one z tą prawdą, na jaką zdobyć się potrafi talent
rzeczywisty—to wszystko mogłoby się złożyć
na rzecz dobrą, gdyby nie łamańce psychologicz-
ne, które sztuce Szutkiewicza niemiłosiernego
wyrządziły figle. Nie możemy z całym zainte-
resowaniem się śledzić biegu wypadków, albo-
wiem cochwila pęka nie logiki, niespodzianki idą
za niespodziankami, widzimy co krok niewpra-
wną rękę autora nie zaś konsekwencję czynów,
dane skutki pociągających za sobą. Jakkolwiek
paniczki starający się o posag nie o rękę panny,
aż nadto są nam znani i z życia i ze sztuk tea-
tralnych, z nowel i powieści; jakkolwiek o czar-
nym charakterze teściowej, aż do znudzenia
nam mówią „Kolce“, „Mucha“, „Kuryer Świą-
teczny“ i wszelkiego rodzaju kalendarze, na hu-
mor chorujące; jakkolwiek dwaj, bracia marmurki
z dwoma spokrewnieni Ajaksami—nie mają
racji przedstawiać się nam poraż setny, a pioru-
nający telegram jest efektem już nieefekto-
wnym; mimo to—gdyby w sztuce danej było
wiązało jakieś—rzecz cała mogłaby się usunąć
z pod ostrza krytyki, i zyskać sympatyę widzów.
Tak jednak jak jest, ani widzi, ani krytyka za-
dowolonymi być nie mogą. Przekona nas o tem
sumienny rozbiór sztuki.

Akt I. Dom kapitalisty Tulkowskiego.—Po-
znajemy tutaj całą rodzinę Tulkowskich: Jowial-
nego gospodarza domu (Wojdałowicz) (postać
najlepiej może odrysowana), w najcięższych
chwilach życia nie pochylającego głowy, z do-
brodusznym uśmiechem na twarzy i żartem nie
schodzącym z ust prawie nigdy. Tulkowski da-
wniej był kupcem, lecz zwinął handel, dorobi-
wszy się grosza,—a że miał córkę imieniem Zo-
fia, zakreśliła się koło niej młodzież, właściwie
dwóch młodzieńców: Aleksander Niewierski urzę-
dnik banku (Sliwicki) i Jan Poturaj buchalter
jednej z pierwszorzędných firm (Roland). Mo-
ralnie stoją ci dwaj młodzieńcy na dwóch przeci-
wnych biegunach. Poturaj kocha Zosię, dla jej
zalet i serca złotego, Niewierski mało dba o te
zalety,—panna ma posag, a to jest grunt szczę-
ścia w przekonaniu pana Aleksandra. Niewierski
od razu przedstawił się nam jako cynik, czło-
wiek do gruntu zepsuty, beczelny nawet, gdy
otwarcie mówi Poturajowi, że—tylko dla pienięd-
zy żeni się z Zosią. Z kilku słów dowiedzia-
wszy się od Poturaja, że i dla niego Zosią nie
jest obojętna—żąda tylko jednego słowa szcze-
rszego wyznania od przyjaciela, a narzeczoną bez
żalu odstąpi. Nie możemy oczywiście wierzyć
w szczerść tych słów Aleksandra, bo odstępując
narzeczoną odstępowalby i posag, o który mu
chodziło. Widzimy tylko w tem lekceważe-
niu przeznaczoną dla siebie kobiety, chara-
kter nędzny,—tembardziej, gdy Niewierski wie,
że Zosia nie Poturaja, lecz jego właśnie kocha.
Poturaj o miłości swojej nie a nie Zosi nie mó-
wi, wiedząc, że nie do niego serce jej lgnęło.

Zosia (Ćzaki) dziewczę dobre i naiwne, zawo-
łana gospodynią, dowiadująca się ciągle do kuchni,
i przygotowująca leguminę narzeczonemu, która
mu niegdyś bardzo smakowała—kocha całym
sercem Aleksandra, któremu niepodobna się jej
ciągle krzątanie się w kuchni, i z tej racji czy-

ni jej nawet małą wymówkę, ale młoda gosposia
chce nachmurzenie się narzeczonego rozpędzić
przyniesieniem mu własną ręką spreparowanego
przymaku.

Tych wszystkich ludzi poznajemy u państwa
Tulkowskich w dniu imienin i zaręczyn Zosi
z Aleksandrem. Zjawiają się tu „dwaj bracia
marmurki“ postaci epizodyczne, nie grające ża-
dnej roli w dramacie, jako też Władysław Krzy-
żowski, były obywatel ziemski, obecnie nauczy-
ciel prywatny z swoim wnuczkim Zygmutem
małym, dający lekcji sześcioletniemu Jasiowi,
synkowi Tulkowskich. Postać starego nauczy-
ciela, zajmująca sporo miejsca w akcji każdym,
sama przez się wykonana dobrze, lecz w sztuce
jest piątem kołem u wozu, zbytecznym bala-
stem, obciążonego i tak epizodami dramatu. Na
uroczystość podwójną: imienin i zaręczyn, zja-
wiają się jeszcze dwie panie: Słomecka wdowa,
z córką Jadwigą. Piękność tej ostatniej zwraca
uwagę Aleksandra, jej słowa o idealnej miłości,
której towarzyszy śpiew słowików i zapach róż—
zastanawiają Niewierskiego, a gdy ktoś szepnął
i o posagu panny—robi na lewo zwrot i przysia-
da fałdów tylko co poznanej Jadwidze. Zosia
raz w raz opuszcza swych gości zajęta jakimś
pieczywem w kuchni, co wzbudza śmiech w pan-
nie Jadwidze; ironicznym uśmiechem wtóruje
jej Aleksander, i—podczas obiadu—bez żadnej
ceremonii oświadcza się o rękę panny Słomeckiej.
Skrupuły delikatności czy przyjaźni dla Zosi,
nie pozwalają Jadwidze brać na seryo słów Nie-
wierskiego, lecz, gdy podczas toastu za zdrowie
narzeczonych, Tulkowski wzywa młodą parę
do—pocałowania się, panna Jadwiga udaniem
omdlenia przerywa wesołą ucztę i opuszcza
towarzystwo. Pospępnosć osiada na czole Nie-
wierskiego, chciałby zerwać z Zosią, lecz w tem
sęk—jak to zrobić? Zakłopotanemu przybywa
w pomoc sam autor—bo oto zjawia się depesza,
z której obecni dowiadują się, że—przez łajdactwo
przyjaciela, Tulkowscy są bankrutami.—Prze-
żalenie pana Aleksandra nie uchodzi uwagi Zosi,
która zwalnia narzeczonego ze słowa. Była
to niby z jej strony próba przywiązania, lecz on
korzysta bezpiecznie z tego szlachetnego wystąpienia
ubogiej już panny—i wychodzi. Zosia z krzy-
kiem pada w ramiona matki, nie wierząc oczom
swoim, że tak haniebnie opuszczoną została, bo-
leść jej nie ma granic, lecz w tej chwili, jako po-
cieszyciel staje przed biedną dziewczyną Poturaj
i—ofiaruje jej swoją rękę. Zosia nie znajduje
innych słów w tej chwili rozpaczy jak tylko:

— Poczekaj! niech zapomnę o tamtym.

Widzimy tedy jak to wszystko w akcji pier-
wszym piorunem poszło. Podczas obiadu, mię-
dzy jednym, a drugim daniem odegrał się dra-
mat cały. Aleksander zakochał się w Jadwidze,
Jadwiga odpowiedziała mu zemdleniem; Tulkow-
scy stali się niedziedzami, Zosia straciła narze-
czonego w osobie Aleksandra, a pozyskała wnet
drugiego w osobie Poturaja. Wypadków moc,
ale psychologia pierwszy tu policzek dostaje.

O Niewierskim nie możemy mieć innego zda-
nia, jak tylko, że jest psu brat, co nie dowodzi,
ażby mu jakiejś klepki brakło w głowie. Tym-
czasem oświadczyły jego podczas zaręczyn z Zo-
sią, są poprostu głupie. Jadwigi nie znał, jakich
zaś jest usposobień, z kilku nie nieznaczących
słów, dowiedzieć się nie mógł; oświadczyły więc
w danej chwili za hazardowne były, a że się
udały, to więc mogło stać się tylko wypadkiem,
lecz zdrowa logika na takie wypadki rachować
nie może.—Niewierski miałby czas przecie do
zerwania z Zosią, bo i od ołtarza ludzie rozeho-
dzą się—lecz nie byłoby tej galopady wypadków,
o którą, zdaje się, chodziło autorowi. Jeszcze
większa jest niekonsekwencja w psychologii du-
szy kobiecej, duszy takiej, jaką było Zosia. Do-
bra, naiwna kochająca szczerze Niewierskiego,
i czująca głęboko ból zawodu—nie byłaby zdol-
na tak łatwo, jak rękawiczkę, zmienić kochankę.
—Wystąpienie Poturaja w chwili, gdy sła-
niała się od płaczu—jest wprost nieprzyzwoite, sło-
wa zaś Zosi: „Poczekaj—niech zapomnę o tam-
nym,“ dowodziłyby nie tylko, że zapanowała
nad bólem, lecz, nie licując z rozpaczą zranie-
nego dziewczęcia, miałyby w sobie dużą dozę wy-

rafinowanej przebiegłości. „Poczekaj—niech
zapomnę...“ kto w takiej chwili mówi—jest pe-
wien, że zapomni. Czas goi rany,—o tem wie-
my, lecz o tem w danej chwili nie nie wie roz-
pacz. Miłości nie wyrzuca się za drzwi jak nie-
potrzebne śmiecie, a dopóki ona jest w sercu,
oświadczyńcaż nawet Poturajów zniewa-
gą tylko być mogą. Zgrzyt szkła mniej byłby
przykry, niż ten łamaniec psychologiczny.

Ile czasu przeszło od fatalnego dnia tego i co
przez ten czas robił p. Aleksander Niewierski—
nie wiem. Nie mało jednak wody musiało
upłynąć, gdy nie tylko, że dawny narzeczonego
Zosi ożenił się z panną Słomecką, lecz miał czas
nawet, ulegając jej i teściowej namowom do ży-
cia wystawnego, po uszy się zadłużyć, miejsce
urzędowe stracić i—rozczarować się do żony.
W akcie 2-gim, jesteśmy świadkami niezgody
małżeńskiej. Teściowa rej wodzi, a choć gro-
sza jednego posagu swej córce nie dała, wyma-
ga od zięcia krezusowych wydatków. Mieszka-
nie wspaniałe, goście raz wraz nawiedzają ich
salony, bale na porządku dziennym, wyjazdy
zagranicę, teatru i stroje. To wszystko dopro-
wadza Aleksandra nad brzeg przepaści. Pozwy
się sypią, kredytorowie jednemi drzwiami wy-
chodzą drugimi wchodzi—lecz młoda a do sza-
łu przez męża kochana małżonka—zrozumieć
nie chce targań się jego, wstydu i upokorzeń. Na
wzmiankę o potrzebie urzędowania inaczej ży-
cia—odpowiada dąsam; czuje wstęć do jazdy
tramwajem, do dorożki siada z ust skrzywie-
nieniem, jej potrzeba powozu, zaprzęgu pięknego,
bo inaczej na mieście pokazać się nie może.
Po dąsach żony i wybuchach teściowej, mazga-
jowaty, lecz dziwnej zacności Aleksander—by
ujrzeć uśmiech na twarzy Jadzi, daje jej żąda-
ne rs. 150 na suknię, pozwala wynająć lando
i gości dzisiajszego wieczoru przyjmując. Otrzy-
mawszy to wszystko—Jadzia rzuca się w ramio-
na męża z okrzykiem: Ach! jak kocham ciebie!
Zrozumiał teraz dopiero Niewierski, że żona taka
jest kulą u nogi; lecz wyrwać się z pęt tych nie
może—a nędza za drzwiami stoi. Zasada jest
teściowej: drzyj tylko poki się drzeć daje. Wtó-
ruje doskonale matce nieodrodna jej córka. Oto
do salonu wchodzi „dwaj bracia marmurki“
(przed tem niewiadomo po co stary nauczyciel
z wnuczkim się pojawił) i jakiś p. Fortunat
Wygralski, pan półmiljonowy, marzący o wy-
jeździe do Monaco. Westchnęła do Monaco
i pani Jadwiga, zawtórowała jej mama i potę-
czyła się rozmowa o rozkoszach życia, a p. For-
tunat, mając nietajone zamiary względem pani
Jadwigi, zaczyna apoteozować—zdradę małżeń-
ską. Krażąc kielichy win, p. Fortunat głos za-
biera i jawnie się dąsa na żonę p. Aleksandra,
że nie chce mu być uległą. Scenie tej przysłu-
chuje się Niewierski—i zjawia się nagle pośród
strapiionych gości. P. Fortunatowi każe za
drzwi się wynosić, czemu uraża śmiertelnie żonę
i języczką teściową. Pani Jadwiga opuszcza
męża i wraz z matką wychodzi—Aleksander pa-
da przebity śmiertelnym ciosem.

W tym akcie drugim nie wiemy sami co są-
dzić o Niewierskim. Nie ten to człowiek, któ-
rego widzieliśmy dawniej. Zdumiewa nas praw-
ność charakteru, drażni mazgajstwo opętanej
miłością, lecz o ile to ostatnie szaleństwem
wytłomaczyć się daje, zacność charakteru dzi-
siejszego Aleksandra i wysokie poczucie honoru
są dla nas prawdziwą niespodzianką. Co go
przerobiło? Nieszczęśliwe małżeństwo — ta —
„kula u nogi?“ Dziwna szkoła! Można zatem
radzić gałganom, by z gałganiami się żeniłi —
a wejda na drogę uczciwą. Niezrozumiała logi-
ka; lecz w sztuce Szutkiewicza jest wszystko,
oprócz logiki.

Zostaje także pytanie: do jakiej sfery towa-
rzyskiej panie Słomeckie należą? z kąd się tu
wzięła taka figura jak ten Wygralski Fortunat?
Sprzedają się ludzie, lecz nie tak jawnie; kupuje
się nieraz cnota, lecz nie tak otwarcie jak tutaj,
gdzie patrzą nawet „dwaj bracia marmurki.“
Autor nie umiał zachować miary: stworzył sa-
lon, lecz posadził w nim garderobiane.

Gdy w salonie Niewierskiego odegrywa się
wstęćna tragedia czułości i zdrady—w domu

Z AMERYKI.

New-York w Lipcu.

Poturaja snuje się cichy dramat, którego uczuciowej strony autor nie umiał wyzyskać. Janowi nie udało się pozyskać serca Zosi, to serce kocha dotąd Aleksandra, żyje wspomnieniem miłości pierwszej, bolesć po stracie kochanka, jedynym jest pokarmem duszy Zosinej. Nie ją nie bawi, nie cieszy—smutna zawsze i zatopiona w marzeniach przeszłości. „Nie mogę ciębie kochać”—mówi mężowi i mówi prawdę. Lata tylko mogą serdeczne rany zgoić, wspomnienie kochanka, widok jego—drażnić tylko mogą to serce i odsuwać w dal nieokreśloną chwilę zapomnienia i rzucenia się mężowi w ramiona. Tak chce prawo psychologiczne—lecz inaczej zrozumiał jej autor „Kuli u nogi.”

W akcie trzecim, wchodzi do mieszkania Poturaja—Aleksander. Co go tu sprowadziło? czy miał prawo przestąpić próg tego domu? Nie nie wiemy—Aleksander przyszedł.

Nie ten to już człowiek, którego widzieliśmy w ostatnich dwóch aktach. Nędza i głód wychudziły mu członki, cierpienia moralne złamały. Widzimy w nim pierwsze przejawy obłądki i rozpacz, niedająca się niczem ukołysać. Przyszedł, by powiedzieć Janowi o swojej nędzy i dowiedzieć się czy—żona go kocha. Z głodu drżą mu wargi, a duma (z kąd?) nie dozwala przyjąć zasłki od przyjaciela. Zosia podsłuchiwała ich rozmowę i wbiega, parta nieprzemieżoną chęcią zobaczenia dawnego kochanka—Aleksander na widok jej wydaje krzyk straszny obłąkańca i wychodzi ze słowami, które kochające serce rozdrzeć tylko mogą. Lecz właśnie—w tej chwili Zosia z wyznaniem miłości pada w ramiona męża. Pocałunek ich łączy. Podczas tej sceny nadchodzą Tulkowscy oboje a uradowany, jowialny zawsze i wesół Tulkowski, wypowiada zdanie: „No, za rok będę kołysał wnuka.” Znowu zgrzyt szkła, znowu łamaniec i drwiący uśmiech logiki

Najlepszy jest epilog:

Jesteśmy w mieszkaniach wspólnych: Biedota się cisnie, by za dziesiątkę znaleźć sobie jakiś kącik do spania. Widzimy tutaj muzykanta ulicznego, handlarza psów, wędrownego aktora, nieszczęśliwą jakąś oczekującą na męża opijusa, kalekę niewiastę, starca, stałego lokatora tego „zakładu” nawet dawnego znajomego nauczyciela z Zygmysiem. Dyalog jaki tu ci mieszkańcy prowadzą, odznacza się humorem i z życia jest wzięty. Opijus dostaje policzek od żony za stracone pieniądze, gwar i mała bójka—zdaje ci się, że nędza pozbawiła tych ludzi uczuć wszelkich. Nie! Oto muzykant wprowadza znalezione na kupie kamieni — Niewierskiego; obłąd nieszczęśliwego wzbudza ogólną litosć, zajmują się nim wszyscy, a gdy zażądał widzenia się z Poturajem—muzykant na dorożkę daje kopiejek dwadzieścia. Poturaj zjawia się—z Zosią. Po co tu ona? Aleksander chce z ust jej otrzymać przebaczenie. Wpada w szal—widzi żonę swoją i Fortunata w Monaco. Ostatni przegrywają grosz—Fortunata w leb sobie pali... „teraz zabij jeszcze ją, ją...” woła obłąkaniac i—otrzymawszy przebaczenie od Zosi—w dreszczach konwulsji—kona.

Doskonała ta scena i świetnie odegrana przez p. Sliwickiego została. W ogóle artyści nasi robili co mogli, by ze sztuki słabej zrobić dobrą. Nie mało trudności miała Czaki—ale pokonała wszystkie; p. Junosza w roli Jadwigi była doskonałą—o Wojdałowiczu nie mówimy, ten zawsze jest sobą. Bolesławski odegrał wybornie epizodyczną rolę nauczyciela, który, sam w sobie, jest postacią skończoną, lecz niepotrzebnie wetkniętą do dramatu. A szkoda!

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, „Kula u nogi” na trwałe powodzenie liczyć nie może. Szutkiewicz miał dar obserwacyjny, nerw sceniczny, lecz brakło mu twórczości i logicznego myślenia. Zapamiętamy tylko go jako autora „Popychadła.”

K. Gliński.

Jedna z dzielnic New-Yorku nosi nazwę „down-town” (niższe miasto); w niej zogniskowują się giełdy i wszelkiego rodzaju biura handlowe. Człowiek z słabymi nerwami utracić może przytomność, dostawszy się raz w ten wir pogoni za dolarami, zalewającymi ulice tej części miasta. Ludzie biegają, jak oparzeni; zbite tłumy zalegają ulice i uliczki; tramwaje konne dzwonią, elektryczne hałasują, krótko mówiąc, życie ludzkie wre tu jak w kotłach. Z uderzeniem jednak godz. 6-ej wieczorem gorączkowa ta pogoń za dolarami zamiera. Wszystkie sklepy, restauracje, giełdy i biura zamknięte; właściciele wyjeżdżają do domów w innych częściach miasta położonych. Z nastaniem zmroku opanowuje dzielnicę tę z kolosalnym jej budynkami cisza grobowa. Wszystko spowite milczeniem i ciemnością nocy. Tem bardziej odbijają się wśród ciemności nocnych nieliczne domy, zalane od góry do dołu potokami światła elektrycznego. Jeden zwłaszcza z nich rzuca się w oczy każdemu przechodniowi. Kolosalnych rozmiarów, szczytem swoim ozdobionym złotą kopułą potracca niemal o chmury. Ze szczytu tej kopuły, na której znajduje się mała platforma, rozciąga się wspaniała panorama New-Yorku. W nocy kopuła ta lśni tysiącem gwiazd elektrycznych, widzialnych z każdego punktu miasta. Rzęsiste oświetlone okna świadczą, że wre we wnętrzu tego budynku gorączkowa, nerwowa i bezprykkładna w historii pracy, robota. Wewnątrz tego budynku „fabrykuje się” dziennik „The World.” Kolosalna ta fabryka jest własnością żyda węgierskiego Pulicera. Przybył on do Ameryki przed kilkudziesięciu laty bez grosza w kieszeni i rozpoczął karierę swoją obywatelską jako posługacz hotelowy. Szcześnie mu służyło, podobał się jakiemuś bogatemu Amerykaninowi, który zrobił go z początku zarządzającym swojemi przedsiębiorstwami handlowymi, a potem obdarzył go pieniędzmi, które umożliwiły mu kupienie małego dziennika. Dziennik ten urósł następnie do olbrzymich rozmiarów, stanowiąc niebezpieczne współzawodnictwo dla „The New-York-Heralda,” jednego z największych pism amerykańskich.

Tuż obok „The World’a” mieszczą się redakcje dzienników „The Sun,” „Times,” „The New-York Tribune,” „The New-York Prees,” „Recorder” i innych.

Na ulicy przed domami mieszczącymi redakcje pomienionych pism, zbierają się w porze nocnej liczne tłumy narodu.

Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, ubodzy i bogaci,—wszyscy oni przychodzą tu kupować dziennik, który następnie w dzień sprzedają pojedynczymi numerami. Sprzedaż dzienników w Ameryce wolna jest od wszelkich podatków. Każdy obywatel ma prawo nią się zajmować.

Kupno dzienników w biurach redakcji odbywa się za gotówkę. Pragnący nabyć pewną ilość numerów, przychodzi o godz. 3-ej w nocy do biura redakcji, podaje swoje nazwisko i adres, składa pieniądze i otrzymuje pokwitowanie, z którem udaje się do ekspedycji.

Tu otrzymuje żadaną ilość egzemplarzy świeżutkich, tylko co z pod prasy i już o godz. 4-ej rano zająć może zwykłe swe miejsce. Setki tysięcy zajmuje się sprzedażą pism; dostać ich można i w sklepach z materiałami piśmiennymi i na dworcach kolejowych i w kioskach ulicznych. Do jakiego stopnia sprzedaż taka zyskowna, sędzić można choćby już z tego, że niektórzy przedsiębiorcy opłacają za dzierżawę kiosków na ruchliwszych ulicach po 6 tysięcy dolarów rocznie. Sprzedający korzysta z 35 do 50 proc. prowizji. Biura redakcji przyjmują nie-sprzedane egzemplarze lub wymieniają je na nowe. Najsprytniejszymi kolporterami są chłopcy. I bez przesady twierdzić można, że milion

może chłopców rozbiega się po ulicach miasta, i napastuje przechodniów; dziesiątki ich pędzą jak strzala za każdym elektrycznym tramwajem, a dopędziwszy go, wskazują na płat formę, wykrzykując piskliwym głosem tytuł pisma. Sprzedaż pism daje w Ameryce utrzymanie setkom biednych rodzin, jeżeli zważymy, że w niespełna cztery godziny rozhodzi się w New-Yorku pism tych na sumę kilkuset tysięcy dolarów. Kolporterzy stają na swoich stanowiskach zwykłe o godz. 6-ej rano. Ci z nich, którzy rozpoznają pisma po domach stalymi swoim odbiorcom, czynność tę kończą o godz. 7-ej.

O 6-ej godz. przeciąga ulicami miasta przeważnie lud roboczy, śpieszący do fabryk i warsztatów. Nabywają oni wydawnictwa tanie, po 1 cencie (2 kop.) za egzemplarz, jak „The World,” „Press” i „Morning Journal.” Dziennik taki składa się z 6 arkuszy druku z licznymi rysunkami na każdej stronie. O godz. 8-ej wychodzą na miasto subjecki handlowi i kobiety, pełniące obowiązki w wielu sklepach w charakterze korespondentek na maszynach piszących. Ci nabywają również pisma tanie.

O godz. 8-ej rano wagony kolei konnej i elektrycznej przepelnione już publicznością. Chłopey, wskazują do wagonów, krzyczą, ogłaszają pasażerów i podsuwają im pod nos numera pism. O godz. 9-ej rano pojawiają się na ulicach miasta kupcy, bankierzy, finansisci, właściciele biur, krótko mówiąc niezależny czynnik miejski. Każdy z nich ma w kieszeni ulubiony przez siebie dziennik, przeważnie „The New-York Herald,” „Sun,” „Times,” „Tribune,” „The World.” O godz. 10-ej sprzedaż pism ustaje i tylko od czasu do czasu trafi się jakiś spóźniony nabywca.

O godz. 11-ej pisma po restauracjach są już w stanie nie do użycia, a skwery i ulice miasta zalegają stopy drukowanego papieru. Amerykanin czyta gazetę bardzo chętnie; nie szuka on w niej niczego innego prócz nowinek, a wyczytawszy je, odrzuca, jak rzecz niepotrzebną. Delektuje się nowinkami temi, tak jak inny dy-mem cygara lub papierosa. Żaden obywatel tu-tejszy nie może się obejść bez gazety, wydając jednak na nią z dnia na dzień pewną ilość pieniędzy, nigdy jej nie przechowuje, lecz niszczy, fabryki bowiem nie kupują wcale papieru drukowanego z powodu bajecznej jego taności.

Spacerując w nocy po ulicach miasta zauważyć można tu i owdzie elektryczne szyldy. Rzucają się one mimowoli w oczy. Gdziegdzie na ścianie olbrzymiego gmachu, na wysokości widzialnej z daleka czytać można elektryczną reklamę, złożoną z liter, wyrazów i wierszy, otoczonych wspaniałymi kwiatami. Tak reklamują wydawcy swoje pisma.

Na pomoc wszelkiego rodzaju reklamom pospieszyła i architektura. Wzmiankowany wyżej redaktor „The World’a,” Pulicer wzniósł dla redakcji swej olbrzymi budynek w kształcie wspaniałej synagogi żydowskiej. James Gordon Bennett, którego dziennik „The New-York-Herald” znajdować się musi w każdym salonie arystokratycznym stracił na budowę gmachu dla swej redakcji, któremu równego niema na całym świecie, przeszło milion dolarów. Budynek ten do tego stopnia oryginalny, że nie można przejść koło niego nie zatrzymawszy się, a kto go raz w życiu zobaczy, ten nigdy o nim nie zapomni. Olbrzymi ten budynek mieści w sobie biura redakcji, administracji i drukarnię dziennika wychodzącego w liczbie 650 tysięcy egzemplarzy.

Podczas gdy inni wydawcy wznosząc domy na pomieszczenie redakcji mieli na oku i względy kupieckie i budowali lokale, które następnie wynajmowali na rozmaitego rodzaju biura i sklepy, James Gordon Bennett wzniósł budynek przeznaczony wyłącznie na pomieszczenie biur swego pisma.

Postaramy się opisać choć w przybliżeniu wewnętrzne urządzenie wspaniałego tego gmachu.

Ulicę zapelniają dniem i nocą nieprzejrzane tłumy ludu. Tłum ten z wrokiem skierowanym w lustrzane szyby okien parteru sledzi z zajęciem za poruszeniami maszyn, wyrzucających w ciągu godziny 60 tysięcy egzemplarzy.

Na zewnątrz gmach ten przypomina pałac doży weneckiego, wewnątrz coś w rodzaju gmachu ministerjalnego. Jednopiętrowy budynek w kształcie czworoboku, zajmuje ogromną część ulicy Broadway. Ściany parterowe ozdobione są kryształowymi lustrami olbrzymich rozmiarów, pierwsze piętro spoczywa na kolumnadzie.

Cała zewnętrzna strona budynku przystrojona jest mnóstwem figur mitologicznych, których oczy w porze wieczornej jaśnieją najróżnorodniejszym światłem elektrycznym. Na samym szczycie przedniej fasady znajduje się wielki dzwon, a obok niego ulane z brązu postacie dwóch kowali, wybijających godziny i poruszających się pod wpływem siły elektrycznej. Po obu stronach wspaniałej bramy, prowadzącej do gmachu, stoją na wysokich słupach tablice z matowego szkła, zawierające krótką treść ostatniego numeru dziennika. Gość wchodzi do okrągłej sali olbrzymich rozmiarów, przybranej w stylu staro-greckim. Sala ta wsparta jest na kolumnach, zdobnych w pół okrągłe lustra.

Sala ta mieści biura urzędników przyjmujących ogłoszenia i kasę; biura te oddzielone są od publiczności wspaniałymi szybami lustrzanymi. Tu znajduje się również szklany gabinet „superintendententa,” zarządzającego biurami redakcyi, do którego przystęp każdemu każdej chwili jest dozwolony. Jedno biuro pocztowe pośredniczy między publicznością umieszczającą anonse, a redakcyą pisma, drugie biuro funkcjonuje z ramienia państwowego zarządu pocztowego i służy do przyjmowania listów poleconych i przekazów pieniężnych. U wejścia do sali stoi dniem i nocą szwajcar.

Szerokie wspaniałe schody wiodą gości na pierwsze piętro. W podsieniu siedzi czterech chłopców w liberyi. Dyżurujący urzędnik przyjmuje gości w pokoju przystrojonym wspaniałymi meblami. Posadzkę pokrywają bogate dywany, na ścianach wiszą dwa obrazy: jeden z nich przedstawia bitwę morską floty amerykańskiej z angielską w r. 1812, drugi to podobna jachtu, będącego własnością wydawcy pisma. Dyżurny zwraca się do gościa z zapytaniem, czego sobie życzy, a otrzymawszy odpowiedź podaje mu specjalnie wydrukowany blankiet z rubrykami dotyczącymi nazwiska gościa i powodu, dla którego przybył. Blankiet ten po wypełnieniu go posyła dyżurny osobie, z którą interesant pragnie się widzieć. Główny redaktor pisma, a nawet redaktor, którego z specjalnych działów nigdy nie wychodzi osobiście do interesanta, chyba by tego wymagał jakiś bardzo ważny powód. Zwykle wysyła w swoim imieniu jednego z pomocników lub reporterów. Publiczność niechętnie wprawdzie okiem patrzy na podobne postępowanie z interesantami, coż jednak robić. Każdy godzi się chcąc nie chcąc z smutną koniecznością i opuszcza Rzym dziennikarski, nie ujrawszy papieża.

Prasa to czynnik bardzo na całym świecie potężny; tu w Ameryce potęga jej ustępuje chyba jednemu tylko złotemu cielcowi.

I G.

NA POMNIK

Adama Mickiewicza

nadesłali pocztą do naszej Redakcyi:

Grzebołńska D.	rs.	1
Julska M.	"	1
Różałowska Marya	"	1
Zeromska H.	"	10

Kronika działalności kobiecej.

— Sympatyczna i zasłużona poetka i literatka z Żochowskich Seweryna Duchńska, autorka całego szeregu dzieł pożytecznych i zajmujących, obchodzić będzie wkrótce swój jubileusz, z powodu którego, polskie koła literackie oraz Czytelnie kobiece jak n. p. poznańska, zamierzają uczcić szanowną antorkę adresami do niej wysłanymi. Pismo nasze przypomni również czytelnikom szczegółowiej działalność niestrudzonej pracowniczki na polu literatury dla młodego wieku, której książki w tyłu młodocianych umysłach serdeczne zostawiły wspomnienia.

— Na wystawie intrologatorskiej w gmachu Muzeum Przemysłu w Warszawie zwracały uwagę prace p. Józefy Bojanowskiej, która też za swe oprawy książek, trwałe i gustowne otrzymała pierwszy list pochwalny od rzeczoznawców sędziów.

— Pani M. Lewicka na wystawie inwentarza otrzymała w różnych działach następujące nagrody: medal brązowy, 100 rubli, list pochwalny, t. zw. ósmą nagrodę, oraz medal srebrny. Były to odznaczenia przeważnie za chów koni.

— Popisy odbyte po ukończonym kursie szkolnym w zakładach prywatnych sztuki stosowanej u pań Poświkowej, Tokarzewskiej i Nowińskiej, wykazały jak wiele można pilną pracą i umiejętnym pokierowaniem niewielkiego nawet talentu wpłynąć na jego rozwój i spożytkowanie, tak aby z czysto osobistej przyjemności estetycznej lub bawidełka salonowego przerobić daną zdolność na źródło pracy i dochodu. Talent wybija się do wyżyn sztuki, zdolność gruntownie wykształcona daje zajęcie estetyczne i zarobek, a rozwój takiej zdolności jest istotną zasługą. Szkoły wyżej wymienione w zupełności tę zasługę posiadają.

— P. H. Orsza (pseudonim) napisała małą lecz wielce pożyteczną książeczkę, zapoznawszy w niej popularnie szerokie koła maluczkich z życiem, pracami, stanowiskiem i zasługą Adama Mickiewicza. Ładny styl, serdeczny zapał, trafny wybór szczegółów zalecają tę książeczkę i czynią bardzo pożądaną, a jednym z najpierwszych dziełek poświęconych pamięci naszego wieszca przy zbliżającym się jubileuszu.

— Czytelnia dla kobiet w Krakowie, w dobie swem sprawozdaniu wykazała pomyslny rozwój stowarzyszenia, ruchliwą i dodatnią działalność, i coraz większą liczbę członków. Cały szereg zajmujących odczytów urozmaicał czas członkom, jak również wieczory jubileuszowe lub pamiątkowe, jak Asnyka, Mickiewicza, Prusa, Słowackiego, Lelewela. Zgromadzenia poniedziałkowe dawały sposobność zebranym wymiany myśli, uczuć, prądów, wykłady dwumiesięczne Ekonomii p. d-r Zofii Daszyńskiej zgromadzały liczne słuchaczki, a bardzo duży zbiór książek naukowych i prawie, że wszystkie dzienniki polskie, oraz duża ilość obcych czyniły Czytelnię prawdziwie inteligentnym ogniskiem umysłowym dla kobiet w Krakowie. Czytelnia stara się i zbiera fundusze na założenie szkoły zawodowej dla kobiet, a niezależnie od tego rozpoczętym będzie we Wrześniu bezpłatny kurs kroju. Młode stowarzyszenie, którego członkiem honorowym jest już E. Orzeszkowa, po usunięciu wielu przeszkód, rozwija się i działa z siłą bardzo żywotną i na przed sobą korzystnie i sympatycznie widniejącą przyszłość.

— Złoty krzyż zasługi z koroną, nadał Cesarz Austriacki, znakomitej autorce czeskiej, Elizie Krasnohorskiej, przewodniczącej praskiego kobiecego stowarzyszenia: „Minerwa,” które pierwsze w Austrii, założyło gimnazjum dla dziewcząt. Odznaczenie to, jest niejako zachętą ze strony rządu dla idei zakładania nowych gimnazjów żeńskich do czego teraz szkolnictwo całę dąży uznawszy konieczność takich zakładów.

— Grono nauczycielek prywatnych we Lwowie, powzięło zamiar wzniesć pomnik Stanisławowi Jachowiczowi. Gdy fundusze się zbiorą, stanie kolumna z popiersiem poety w nowo urządzonej parku miejskim, na placu dziecinnych zabaw przy ulicy polnej.

— Na wydziale medycznym w Paryżu otrzymały doktorat medycyny p. p. Gabryela Majewska i Laura Chrzanowska.

— Międzynarodowy kongres kobiecej był w Turynie podczas włoskiej wystawy narodowej w roku przyszłym i zwołuje go Towarzystwo ochrony praw kobiety.

Z bieżącej chwili.

— Na kolejach żelaznych w Królestwie Polskim zaprowadzona ma być wkrótce podwójna kontrola biletów osobowych, a mianowicie stacyjna przy wejściu pasażera do wagonu i ruchoma w czasie podróży.

— Zakładowi naukowemu żeńskiemu z klasami nauki sztuki, Łochwickiej i Skalon, przyznane zostały przez ministerium oświaty wszelkie prawa gimnazjów rządowych, przy zachowaniu w nim klas nauki sztuki.

— Grono intrologatorów i kapitalistów warszawskich zamierza otworzyć fabrykę opraw do książek na szerszą skalę. Inicytorzy zamierzają konkurować z fabrykantami zagranicznymi, którzy, jak dotąd od wydawców tutejszych stale miewają znaczne zamówienia.

— Kosztorys zapowiedzianej na r. 1,900 światowej wystawy paryskiej wynosi 107 milionów franków, z których miasto Paryż daje 20 milionów, bony wystawowe 60 milionów, a resztę t. j. 27 milionów franków państwo.

— Po długich obietnicach i oczekiwaniach projekt kolei z Chabówki przez nowy Targ do Zakopanego wchodzi w fazę czynu. Namiestnictwo galicyjskie podaje do wiadomości, że komisyja ekspropriacyjna w sprawie wykupna gruntów pod kolej rozpocznie swe urządowanie dn. 19 b. m., a zakończy w dn. 3 września.

— W r. b. odbędzie się zwyczajem lat poprzednich szereg odczytów popularnych w Towarzystwie dobroczynności, w których przyjmą udział p. p. d-r Bruner, Wojciech Gerson, Walery Gosłowski, Józef Kotarbiński, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), adw. Konic, Ignacy Matuszewski, Julian Ochorowicz, Antoni Pilecki i Adolf Suligowski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkuś 5-ty T. II, powieści p. t. *Marzenie*, przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

Treść: Juljusz Zeyer. *Legenda o Donatellu*, przełożył Miriam. — *Zemsta*, nowella, przez Znicza (Maryę Paprocką). — *Przegląd piśmienniczy*, przez J. Nitowskiego. — *Przyroda w poezyi*, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — *Teatr*, przez K. Glińskiego. — *Z Ameryki*, przez I. G. — *Kronika działalności kobiecej*. — *Z bieżącej chwili*.

Dodatek obejmuje: *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkuś 5-ty T. II. Przekład z angielskiego. — *Przegląd mód*. 45 wzorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycje obiadu*.